

MAGDALENA BURACZEWSKA-ŚWIĄTEK

KTO ZABIŁ, ANNO SHIRLEY?



MAGDALENA BURACZEWSKA-ŚWIĄTEK

KTO ZABIŁ,
ANNO SHIRLEY?



Copyright © 2026 by Magdalena Buraczewska-Świątek
Copyright for this edition © 2026 by Nemezis / Grupa Wydawnicza Axis
Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Anastazja Tabor
REDAKCJA: Agnieszka Sabak
KOREKTA: Anna Piechota
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska
PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek
ZDJĘCIE AUTORKI: Archiwum prywatne Autorki
SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-655-4
ISBN E-BOOK: 978-83-8412-656-1
ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-657-8

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[Zostań moją siostrą, Aniu!](#)

[Wyspa koloru czerwonej gliny.](#)

Herbata przy świetle świec

Rosa na pajęczynach snów

Melodia, która płacze i tańczy

Atrament w kolorze fiołków

Muzyka, która wciąż chce grać

Czerwona glina pamięta wszystko

Śmierć w łyku herbaty

Tajemnica szeptów ze Strychu Wspomnień

Każdy kawałek duszy

Cienie nad zatoką

Szepty w Alei Zakochanych

W kokonie kłamstw i półprawd

Skała pośród wzburzonych fal

Lady of Shalott

Żaba rodzi żabę

Póki można marzyć

Zielone Wzgórze śpiewa requiem

Maud jak religia

Prawda boli bardziej niż kłamstwo

PROLOG

Nic nie jest bardziej romantyczne niż sen o miejscu, którego nigdy nie widzieliśmy... dopóki nie odkryjemy, że rzeczywistość potrafi być bardziej brutalna niż ta z naszych najtragiczniejszych wyobrażeń.

Z niepublikowanego dziennika L.M. Montgomery

Gdyby ktoś powiedział mi jeszcze miesiąc temu, że będę stała na prawdziwym Zielonym Wzgórzu z filiżanką herbaty w dłoni, a obok w szopie na narzędzia będzie leżał trup, uznałabym go za wariata. A jednak – oto ja, Magdalena Różycka, świeżo upieczona magister filologii polskiej, autorka bloga o niszowej popularności i laureatka konkursu, który miał być spełnieniem marzeń. Tyle że w moich marzeniach nie było miejsca na policyjną taśmę rozciągniętą w Alei Zakochanych.

– Magda, przestań się gapić na te krzaki agrestu i chodź tutaj! – Klaudia, moja najlepsza przyjaciółka i ostatnia osoba na świecie, którą powinnam była zabrać na zjazd miłośników Lucy Maud Montgomery, machała do mnie energicznie z werandy. – Ten gliniarz znowu pyta o twój esej!

Westchnęłam i poprawiłam słomkowy kapelusz – obowiązkowy element garderoby każdej szanującej się uczestniczki zjazdu. Trzy dni temu byłam zachwycona możliwością wcielenia się w postać z epoki. Teraz czułam się jak aktorka uwięziona w kostiumie podczas próby generalnej sztuki, która nagle zmieniła gatunek z nostalgicznego romansu na kryminał.

– To nie gliniarz, tylko *detective constable*, policjantka wydziału dochodzeniowo-śledczego – poprawiłam Klaudię, podchodząc do werandy.
– I nazywa się Sarah MacLeod.

– Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. – Klaudia przewróciła oczami.
– Wciąż wypytuje o tego starego piernika, jakbyśmy miały cokolwiek wspólnego z tym, że postanowił wykitować akurat w miejscu, gdzie Gilbert oświadczył się Ani.

Miałam ochotę jej przypomnieć, że technicznie rzecz biorąc, w szopie na narzędzia Gilbert nie oświadczył się nikomu, ale ugryzłam się w język. Po pierwsze, Klaudia i tak nie czytała książek. Po drugie, od wczorajszego poranka wszyscy mówili tylko o jednym – profesor Richard Pemberton, największy żyjący autorytet w dziedzinie twórczości Montgomery, został znaleziony martwy wśród grabi i starych doniczek.

I najgorsze było to, że ostatnią osobą, która widziała go żywego, byłam ja.

– Panna Różycka? – Policjantka MacLeod pojawiła się w drzwiach. Miała zmęczoną twarz kobiety, która przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny musiała radzić sobie z setką rozhisteryzowanych turystów w kostiumach z epoki edwardiańskiej. – Przepraszam, że znowu panią niepokoję, ale muszę doprecyzować kilka szczegółów z pani zeznania.

Kiwnęłam głową i ruszyłam za nią do prowizorycznego posterunku, który urządzono w centrum interpretacyjnym. Mijając szklane gabloty z pierwszymi wydaniem powieści Montgomery, pomyślałam, że Ania Shirley na pewno nie spodziewała się, że jej ukochane Zielone Wzgórze stanie się kiedyś miejscem zbrodni. Ale z drugiej strony – czy ktokolwiek z nas spodziewał się, że przyjazd na Wyspę Księcia Edwarda w ramach nagrody za esej „Uniwersalność przesłania Ani z Zielonego Wzgórza

w kontekście współczesnego feminizmu” skończy się przesłuchaniem na policji?

Hubert zawsze mówił, że mam talent do pakowania się w kłopoty. Szkoda tylko, że nie było go tutaj, żeby mi to wypomnieć. Chociaż, szczerze mówiąc, gdyby był, pewnie siedziałby teraz w Green Gables i narzekał na brak zasięgu wi-fi, zamiast pomagać mi rozwikłać zagadkę, która zaczynała przypominać najbardziej pokręconą fabułę, jakiej Montgomery nigdy by nie wymyśliła.

Bo jeśli czegoś byłam pewna, patrząc na detektyw MacLeod szykującą kolejną rundę pytań, to tego, że śmierć profesora Pembertona nie była przypadkowa. I że ktoś na tym zjeździe bardzo nie chciał, aby świat dowiedział się tego, co zamierzał ogłosić podczas swojego wielkiego wykładu. Wykładu, który miał na zawsze zmienić sposób, w jaki patrzymy na Anię z Zielonego Wzgórza.

ZOSTAŃ MOJĄ SIOSTRĄ, ANIU!

Zawsze wiedziałam, że jestem trochę dziwna. Nie dlatego, że mam kasztanowe włosy, które w słońcu mienia się czerwonymi refleksami – choć marzyłam, żeby były prawdziwie rude. Nie dlatego, że na nosie mam tyle piegów, że mama żartowała, iż wyglądam, jakby ktoś obsypał mnie kakaem przez sitko. Byłam dziwna, bo żyłam w dwóch światach jednocześnie.

W szkole podstawowej, kiedy pani zadawała wypracowanie „Moje wymarzone wakacje”, pisałam o spacerach po Lesie Duchów i herbacie u pani Linde – choć spędziłam całe lato w blokowisku na krakowskim Ruczaju. Nazywałam rzeczy własnymi imionami: nasz balkon to było „Gołębie Gniazdo”, staw w parku Jordana – „Jezioro Lśniących Wód”, a wielka topola przy przystanku – „Biała Pani”. Nauczycielka wzywała rodziców, martwiąc się o mój kontakt z rzeczywistością.

– Pani córka ma bujną wyobraźnię – mówiła z troską, jakby to była choroba.

Miałam dziesięć lat, kiedy odkryłam, że nie jestem jedyna. Że sto lat temu na kartach książki i w czyimś umyśle żyła dziewczyna, która też nadawała imiona drzewom, rozmawiała ze swoim odbiciem w szybie i wierzyła, że sukienki z bufkami mogą zmienić całe życie. Tyle że ona mieszkała w Avonlea, a ja w Krakowie. Ona miała Dianę, ja – nikogo, kto by zrozumiał, dlaczego płaczę nad chabrami, bo „mają takie smutne, niebieskie oczy”.

Pamiętam dokładnie ten moment. Siedziałam na balkonie – w Gołębim Gnieździe, czytając rozdział, w którym Ania spotyka Dianę. „Czy przysięgniesz, że będziesz moją przyjaciółką na wieczne czasy?” – szeptałam słowa Ani do pustego krzesła obok. – Aniu, czy przysięgniesz być moją siostrą na zawsze? Marzyłam o tym bardziej niż o czymkolwiek innym. O kimś, kto rozumiałby moje nazwy dla rzeczy. Kto piłby ze mną herbatę z malinowym sokiem i udawał, że to wino. Kto przysięgałby wieczną przyjaźń przy świetle księżyca i dzieliłby sekrety szeptane do muszelek.

Próbowałam z dziewczynkami z klasy. Zaprosiłam Kasię Nowakowską na herbatę, podałam ciastka na najlepszej porcelanie mamy i zapytałam uroczyście: „Czy zostaniesz moją wieczną przyjaciółką?”*. Kasia parsknęła śmiechem i przez tydzień cała klasa nazywała mnie „tą dziwną od wieczności”.

– Magda żyje w swoim świecie – mówiły, nie całkiem złośliwie, ale z tym rodzajem politowania, który boli bardziej niż jawna kpina.

Czasami, czytając o Ani i Dianie, wyobrażałam sobie, że to ja siedzę z nimi na Zielonym Wzgórzu. Że to mnie Ania pyta: „Czy zostaniesz moją przyjaciółką?”. I zawsze odpowiadałam: „Tak, kochana Aniu. Na zawsze”. Bo wiedziałam, że z nią mogłabym być sobą. Mogłabym mówić o „diamentowej porannej rosie” i „szmaragdowych wieczorach”, a ona by tylko kiwnęła głową i dodała: „Ale zapomniałaś o ametystowych zmierzchach!”.

Kiedy moje koleżanki z podstawówki szalały za Harrym Potterem, ja czytałam po raz dziesiąty *Anię z Zielonego Wzgórza*. Kiedy w liceum wszystkie dziewczyny mdlały na widok wampirów, ja marzyłam o spacerze Aleją Zakochanych z kimś, kto nazwałby mnie „duszycką”. Hubert ze studiów był pierwszym, który powiedział, że to urocze. Że moja

„wrażliwość na piękno” – tak to nazwał – jest rzadka w dzisiejszych czasach. Przez kilka miesięcy udawałam, że nie słyszę nuty protekcjonalności w jego głosie, kiedy przedstawiał mnie znajomym jako „moją romantyczną Magdę, która wciąż wierzy w wielkie słowa”. Dopiero kiedy Hubert powiedział, że moja obsesja na punkcie martwej od stu lat kanadyjskiej pisarki jest „nieco infantylna”, coś we mnie pękło i byłam już pewna, że on też mnie nie rozumie. Że byłam dla niego tylko ciekawostką, dziewczyną-dzieckiem, którą można pokazywać na imprezach jak egzotycznego motyla w gablocie. A ja nie byłam infantylna. Byłam jak Ania – zbyt intensywna dla świata, który wolał półtony. Zbyt entuzjastyczna w czasach ironicznego dystansu. Zbyt skłonna do używania słów takich jak „wspaniały” i „cudowny” bez cudzysłowu.

Może dlatego, kiedy ogłoszono konkurs na najlepszy esej o Montgomery – z główną nagrodą w postaci wyjazdu na Wyspę Księcia Edwarda – wiedziałam, że to moja szansa. Szansa na udowodnienie, że moje marzenia nie są dziecinne. Że literatura może być czymś więcej niż tylko słowami na papierze. Pisałam ten esej przez trzy noce. „Uniwersalność przesłania *Ani z Zielonego Wzgórza* w kontekście współczesnego feminizmu” – tytuł brzmiał poważnie, akademicko. Ale między wierszami przemyciłam całą swoją miłość do rudowłosej sieroty, która mnie nauczyła, że wyobraźnia jest najcenniejszym skarbem, jaki możemy posiadać. Kiedy zadzwonili z ambasady kanadyjskiej z informacją, że wygrałam, Hubert akurat pakował swoje rzeczy z mojego wynajmowanego pokoju na Krowodrzy.

– To świetnie, Magda – powiedział, nie patrząc mi w oczy. – Cieszę się, że spełnisz swoje marzenie.

Chciałam mu powiedzieć, że moim marzeniem było pojechać tam z nim. Że przez kilka miesięcy związku wyobrażałam sobie, jak stoimy

razem przed Green Gables, a on cytuję mi fragment o tym, że „prawdziwa miłość jest bardzo rzadka”. Ale Hubert nigdy nie przeczytał ani jednej książki Montgomery. Za to przeczytał całego Marksa i pół Foucaulta, co najwyraźniej upoważniało go do decydowania, co jest infantylne, a co nie.

– Może Klaudia pojedzie ze mną – powiedziałam, bardziej do siebie niż do niego.

– Klaudia? – Hubert w końcu na mnie spojrzał. – Ta, która myśli, że Montgomery to marka whisky?

Miał rację. Klaudia rzeczywiście tak myślała. Ale przynajmniej nie oceniała moich marzeń. A poza tym, kto powiedział, że do krainy Ani trzeba jechać z kimś, kto ją rozumie? Może właśnie obecność Klaudii – z jej przyziemnością i skłonnością do niewybrednych komentarzy – sprawi, że docenię to miejsce jeszcze bardziej.

Tydzień przed wyjazdem nie mogłam spać. Czytałam wszystkie książki z cyklu po raz kolejny, studiowałam mapę Wyspy Księcia Edwarda, uczyłam się na pamięć rozkładu zwiedzania Green Gables Heritage Place. Mama mówiła, że przesadzam, tata kręcił głową z politowaniem, a babcia – jedyna osoba, która naprawdę mnie rozumiała – uszyła mi sukienkę „jak od Mateusza dla Ani”. Długa, w drobne kwiatki, z bufiastymi rękawami.

– Będiesz w niej wyglądać jak z epoki – powiedziała, poprawiając ostatni szew.

– Babciu, na zjeździe wszyscy tak się ubierają. To tradycja.

– A co, jeśli spotkasz tam swojego Gilberta? – mrugnęła do mnie.

Zaśmiałam się, ale gdzieś głęboko w sercu pomyślałam: a co, jeśli? Co, jeśli to miejsce naprawdę jest magiczne? Co, jeśli wszystkie te lata czytania o Ani przygotowywały mnie na coś więcej niż tylko na turystyczną wycieczkę?

Kiedy autobus zatrzymał się przed Green Gables Heritage Place, a ja zobaczyłam ten biały domek z zielonymi okiennicami, łzy napłynęły mi do oczu. To naprawdę istniało. Wszystko, o czym marzyłam przez dwadzieścia lat, było prawdziwe. Nawet Klaudia, która przez całą podróż narzekała na brak zasięgu i niewygodne siedzenia, zamilkła na widok tego miejsca.

– Ooookej – powiedziała cicho. – Rozumiem, czemu zwariowałaś na jego punkcie.

Stałyśmy tam, dwie dziewczyny z Krakowa, osiem tysięcy kilometrów od domu, przed domem, który istniał tylko w wyobraźni pewnej kanadyjskiej pisarki. I w mojej.

* L.M. Montgomery, *Ania z Zielonego Wzgórza*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.

WYSPA KOLORU CZERWONEJ GLINY

Z pamiętnika Magdy, 15 lipca 2024, samolot nad Atlantykiem

Lecę do krainy Ani! Za oknem tylko ocean i chmury, ale ja już widzę czerwone drogi Wyspy Księcia Edwarda, fale rozbijające się o klify Cavendish, łąki pełne wierzbówki kiprzycy (chwast ogniowy, czyż to nie brzmi pięknie? Pojawia się często jako pierwszy na terenach po pożarach lasów). Klaudia chrapie obok, z opaską na oczach i zatyczkami w uszach. – Obudź mnie, jak wylądujemy – powiedziała. Nie rozumie, że dla mnie każda minuta tego lotu jest święta. Lecę do domu, którego nigdy nie widziałam, ale który znam lepiej niż własne podwórko.

Lucy – ach, jakże trudno mi porzucić to imię, które brzmi jak melodia wiosennego wiatru, Lucy, imię, które osobiście bardziej mi się podoba, bo jest niczym delikatny kwiat polany rosą na łąkach Wyspy. Lecz z szacunkiem do niej, do tej duszy, co tknęła słowa z gliny i wspomnień, zmuszam się pisać Maud, jak sama pragnęła być nazywana. Ona, mając dziewięć lat, płynęła przez bezkresny ocean, wracając z Wyspy po stracie matki, zostawiając za sobą wszystko, co kochała – serca przyjaciół, szelest czerwonej ziemi, szept fal. Ja zaś lecę w przeciwnym kierunku, tam, gdzie dom mój, jak powiedziała Ania, w objęcia Wyspy, gdzie każda ścieżka śpiewa jej imieniem. Och, jakże różny jest nasz rejs, a jednak w tym tańcu fal czuję jej ducha, co wciąż mnie prowadzi, niczym latarnia we mgle.

W samolocie, gdy tylko zgasły lampki „zapiąć pasy”, wyciągnęłam z torby swoją najcenniejszą towarzyszkę podróży – podniszczone wydanie *Anne of Green Gables*. Okładka była już wytarta od częstego dotykania, rogi pozaginane, a niektóre strony nosiły ślady łez z różnych okresów mojego życia.

– Znowu to czytasz? – Klaudia uniosła brew, zerkając znad magazynu o modzie. – Ile razy można czytać tę samą książkę?

– To wydanie po angielsku – wyjaśniłam, głaszcząc okładkę. – Chcę ją przeczytać w oryginale, zanim tam dotrzemy. Lecę do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło.

Klaudia westchnęła i sięgnęła po książkę.

– Dobra, może chociaż spróbuję zrozumieć, o co tyle szumu.

Obserwowałam, jak przewraca pierwsze strony. Po dziesięciu minutach oddała mi ją z rezygnacją.

– Słuchaj, po prostu opowiedz mi o tej Annie w drodze, dobra? – poprosiła. – Bo ja jednak nic tu ciekawego nie znajduję.

Uśmiechnęłam się. Przez następne godziny lotu opowiadałam Klaudii o rudowłosej dziewczynie, która odmieniła życie mieszkańców Avonlea. O jej wyobraźni, która zamieniała zwyczajne miejsca w krainy czarów. O przyjaźni z Dianą, rywalizacji z Gilbertem, o wszystkich wpadkach i triumfach. Klaudia słuchała, czasem przewracając oczami, czasem się uśmiechając.

– No dobra, przyznaję – powiedziała w końcu. – Ta twoja Ania jest całkiem zabawna. Ale wciąż nie rozumiem, czemu płakałaś, gdy nie dostała się do Queens za pierwszym razem.

Gdy samolot zaczął podchodzić do lądowania w Charlottetown, przycisnęłam nos do okna jak dziecko. Pierwsza rzecz, która mnie uderzyła na Wyspie Księcia Edwarda, to kolor. Nie spodziewałam się, że czerwień

gleby będzie aż tak intensywna – jakby ktoś rozlał rdzawą farbę między szmaragdowymi polami.

– Magda, przestań się ślinić do szyby – mruknęła Klaudia, przeciągając się. – Już jesteśmy?

– Widzisz to? – Wskazałam na patchwork pól pod nami. – To dokładnie tak, jak Maud opisywała. Wyspa jest cała w kolorach, jak wielki dywan rozpościerający się aż po horyzont.

– Wygląda jak zwykłe pola.

Ale to nie były zwykłe pola. To były pola, po których chodziła Lucy Maud Montgomery, zbierając inspiracje do swoich historii. Pola, które stały się Aleją Zakochanych i Jeziorem Lśniących Wód. Lotnisko w Charlottetown było malutkie – nie jak Balice czy Okęcie. Drewniane belki, morskie akcenty i wszędzie – dosłownie wszędzie – wizerunki Ani. Rudowłosa dziewczyna w słomkowym kapeluszu witała nas z plakatów, kubków w sklepie z pamiątkami, nawet z opakowania lokalnej czekolady.

– Jest ich więcej niż Smoka Wawelskiego na Wawelu – zauważyła Klaudia.

Miała rację, ale mnie to nie przeszkadzało. Czułam się, jakbym weszła do środka książki. Nawet pracownica przy stanowisku informacyjnym miała przypinkę z napisem „Ask me about Anne!”.

Gdy czekałyśmy na bagaże, zauważyłam kobietę trzymającą kartkę z napisem „Magdalena Różycka – Montgomery Essay Winner”. Była to elegancka pani około pięćdziesiątki, ubrana w lnianą sukienkę i słomkowy kapelusz ozdobiony polnymi kwiatami.

– To chyba po nas – szepnęłam do Klaudii, czując, jak serce mi przyspiesza.

Poprawiłam niesforne kosmyki, które jak zwykle wymknęły się z kucyka. Moje kasztanowe włosy miały tę irytującą cechę, że w wilgotnym

powietrzu zaczynały się kręcić i żyć własnym życiem. Po dziesięciogodzinnym locie wyglądałam pewnie jak strach na wróble – pomięta koszulka z nadrukiem Małego Księcia, jeansy, które pamiętały czasy liceum, i conversy w kolorze zielonego jabłka. Klaudia wyglądała oczywiście perfekcyjnie – jej krótkie blond włosy układały się idealnie nawet po locie, a biały t-shirt i beżowe spodnie wyglądały, jakby dopiero co wyszła z przymierzalni.

– Pani Różycka? – Kobieta uśmiechnęła się ciepło, gdy podeszliśmy. – Jestem Eleonora Campbell z Anne of Green Gables Museum. To zaszczyt gościć laureatkę naszego konkursu! Pani esej był absolutnie wspaniały.

Zarumieniłam się, ściskając jej dłoń.

– To ja czuję się zaszczycona. Nie spodziewałam się tak wspaniałego powitania...

– Ależ oczywiście! Dla nas to wielkie wydarzenie. Pani interpretacja Ani jako protofeministki była świeża i jednocześnie głęboko zakorzeniona w tekście. Lucy byłaby zachwycona. – Spojrzała na Klaudię. – A to pewnie pani towarzyszka podróży?

– Klaudia Witkowska – przedstawiła się. – Ja jestem tu tylko dla moralnego wsparcia. I plaży.

Eleonora zaśmiała się.

– Nasze plaże są wspaniałe! Ale mam nadzieję, że da się pani również porwać magii Zielonych Wzgórz. – Wzięła jedną z naszych walizek. – Samochód czeka. Po drodze opowiem paniom trochę o wyspie.

Taksówkarz okazał się być jej mężem – Jamesem Douglasem, mężczyzną o twarzy poranej bruzdami jak czerwona gleba wyspy. Miał ten charakterystyczny akcent mieszkańców Maritimes i błysk w oku, który zdradzał urodzonych gawędziarzy.

– Więc panie przyjechały śladami Lucy? – zagadnął, wyjeżdżając z lotniska. – Moja prababka знаła ją osobiście. Chodziły razem do szkoły w Cavendish.

Serce mi stanęło.

– Naprawdę? Jaka była?

– Mówili, że dziwna. Zawsze z nosem w książce albo błądząca po lesie, gadająca do drzew. – Spojrzał na nas w lusterku wstecznym. – Ludzie myśleli, że nie wyjdzie za mąż, bo za bardzo w obłokach buja. Niektórzy mówili nawet, że jest „touched”, jeśli panie wiedzą, co mam na myśli.

– Dotknięta przez muzy – mruknęłam, bo w żaden sposób nie mogłabym pomyśleć o Maud, że była stuknięta. W żaden!

– Właśnie! – Douglas się rozpromienił. – A potem napisała tę książkę i cały świat oszalał na punkcie rudej sieroty. Mówili, że Lucy śmiała się z tego, kiedy wszyscy nagle zaczęli ją traktować jak lokalny skarb.

Eleonora dodała:

– Muzeum jest w posiadaniu naszej rodziny od pokoleń. Dom w Park Corner należał do kuzynów Lucy – Campbellów. To tam brała ślub, tam spędzała najszcześniejsze chwile dzieciństwa.

Wyspa jest dziś szczególnie piękna. Czerwone drogi lśnią po deszczu jak wstęgi z atlasu, a Zatoka Świętego Wawrzyńca jest tego odcienia błękitu, dla którego nie ma nazwy w żadnym języku. Gdybym mogła, zabrałabym te kolory ze sobą, gdziekolwiek los mnie rzuci.

Droga z Charlottetown do Cavendish wiodła dokładnie takimi krajobrazami, jakie sobie wyobrażałam. Białe farmhouse’y z kolorowymi dachami rozsiane po zielonych wzgórzach jak perły. Pola ziemniaków ciągnące się po horyzont, przecięte tylko tymi słynnymi czerwonymi drogami. Ocean błyszczący w oddali jak rozlane srebro. Powietrze

pachniało solą, skoszoną trawą i czymś nieuchwytnym – może wolnością, może magią.

– To jak Toskania, tylko bardziej... czerwona – przyznała Klaudia, robiąc zdjęcie telefonem.

– To jak Avonlea – poprawiłam ją automatycznie.

Douglas się zaśmiał.

– Każdy widzi tu to, co chce zobaczyć. Dla jednych to tylko wyspa pełna ziemniaków. Dla innych – kraina czarów.

Spojrzałam na Klaudię, która właśnie sprawdzała coś w telefonie. Słońce odbijało się od jej platynowych blond włosów ściętych na modnego boba. Nawet po tylu godzinach podróży wyglądała jak z okładki magazynu – zero piegów czy niedoskonałości, makijaż wciąż na miejscu. Kompletnie przeciwieństwo mnie – wiecznie rozczochranej z nosem usianym piegami jak pole stokrotek. „Wyglądasz jak Pippi Langstrumpf po ciężkiej nocy” – mawiała czasem, gdy przychodziłam na zajęcia prosto z biblioteki lub po nocy zarwanej nad książkami.

Minęliśmy drewniany kościół, dokładnie taki, do jakiego chodziła Ania. Białe domy z zielonymi lub czerwonymi dachami. Ogrody pełne łubinów, róż i floksów. Wszystko wyglądało, jakby czas się tu zatrzymał sto lat temu.

– Zaraz będzie Cavendish – oznajmiła Eleonora. – Och, powinniście zobaczyć to miejsce w czasach Lucy! Mała wioska rybacka, wszyscy się znali, wszyscy wszystko o sobie wiedzieli...

– Niektórzy mówią, że tak jest do dziś – mruknął Douglas z uśmiechem.

Gdy minęliśmy znak „Cavendish”, poczułam, jak gardło mi się ścisnęło. Gdzieś tutaj, między tymi samymi drzewami (starszymi o sto lat), młoda Lucy biegała z przyjaciółkami, wymyślając historie. Gdzieś tutaj, w małym pokoju przy kuchni dziadków, przy świetle lampy naftowej, pisała o rudowłosej sierocie, która odmieniła życie mieszkańców Avonlea.

– Jesteśmy prawie na miejscu – Eleonora odwróciła się do nas. – Przygotowałam dla pań małą niespodziankę. Zamiast w głównym budynku hotelu, będziecie mieszkać w jednym z naszych specjalnych domków.

– Domków? – powtórzyłam zdezorientowana.

– To nasza duma! Cztery małe domki stylizowane na domy z epoki Lucy. Wybudowaliśmy je trzy lata temu na setną rocznicę pierwszego wydania *Ani*. Są tuż przy Green Gables, z widokiem na staw, który Lucy nazywała Jeziorem Lśniących Wód. Zwykle rezerwujemy je dla specjalnych gości.

Klaudia gwizdnęła z podziwu.

– No proszę, Magda, jesteś VIP-em!

Hotel „Kindred Spirits Inn” ukazał się za zakrętem – uroczy wiktoriański budynek opleciony dzikim winem. Ale Eleonora poprowadziła nas ścieżką na tyły. Szliśmy przez zagajnik brzoź i klonów, aż nagle las się rozstał i stanęliśmy jak wryte. Przed nami, w świetle późnego popołudnia, stały cztery urocze domki. Białe ściany, zielone okiennice, małe werandy oplecione różami. Każdy miał swój ogródek pełen kwiatów – floksy, ostróżki, malwy. Wyglądały dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam domy z czasów Ani. Poczułam, jak oczy zachodzą mi łzami.

– To miejsce naprawdę istnieje – wyszeptałam, ściskając ramię Klaudii.

– Wszystkie te lata czytania, wyobrażania sobie... i to naprawdę tu jest.

Klaudia spojrzała na mnie, a w jej oczach po raz pierwszy zobaczyłam zrozumienie. Przez moment patrzyła na moje łzy, na domki, na krajobraz rozciągający się wokół.

– Magda – powiedziała cicho. – Dopiero teraz rozumiem, jak wiele to dla ciebie znaczy.

Objęła mnie ramieniem, gdy stałyśmy tam, patrząc na spełnienie moich dziecięcych marzeń.

– Ten pierwszy to „Orchard Slope” (Sosnowe Wzgórze) – wskazała Eleonora. – Tam będziecie mieszkać. To największy z domków, ma dwie sypialnie. Obok, w „Dryad’s Bubble”, mieszka profesor Pemberton z Toronto. W „Violet Vale” (Fiołkowa Dolina) – doktor Margaret Chen, również z Toronto. A w „Birch Path” (Brzozowa Ścieżka)... – zawahała się na moment – nasz nowy przewodnik, pan Matthew Cuthbert.

– Matthew Cuthbert? – wykrzyknęłam. – Jak... jak brat Maryli?

Eleonora uśmiechnęła się.

– To oczywiście pseudonim artystyczny. Nazywa się Matt Curtis, ale podczas zjazdu wciela się w rolę Matthew. Jest również naszym... można powiedzieć, stróżem tych domków. Gdyby panie czegoś potrzebowały, proszę się do niego zwrócić. To bardzo miły młody człowiek, świetnie zna historię tego miejsca.

– Może jest przystojny? – szepnęła. Jej niebieskie oczy błyszczały tym charakterystycznym blaskiem, który znałam aż za dobrze. Klaudia kolekcjonowała adoratorów, jak niektórzy zbierają znaczki pocztowe.

Przewróciłam oczami. Odruchowo poprawiłam okulary – duże, w szylkretowej oprawie, które Hubert nazywał „okularami starej bibliotekary”. A ja je lubiłam. Ukrywały przynajmniej część moich piegów i nadawały pozory powagi mojej drobnej, ledwie metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, osobie.

Eleonora najwyraźniej usłyszała, bo się zaśmiała.

– Matt ma dwadzieścia osiem lat i jest wolny, jeśli to panią interesuje. Ale ostrzegam – jest równie nieśmiały, zwłaszcza wobec nieznanomych, jak jego literacki imiennik. Za to świetnie opowiada o historii wyspy.

Domek „Orchard Slope” był jak ze snu. Mały salon z kominkiem, dwie przytulne sypialnie, kuchnia z prawdziwym piecem na drewno (oczywiście była też elektryczna kuchenka, dyskretnie ukryta). Meble stylizowane na

epokę – sofa obita adamaszkiem, sekretarzyk z inkaustem i stalówkami, nawet maszyna do szycia Singer w rogu.

– To jest... – zaczęłam, ale głos mi się załamał.

– Jak w książce – dokończyła Eleonora łagodnie. – Właśnie o to chodziło. Chcemy, żeby nasi goście poczuli się tak, jakby naprawdę przenieśli się do świata Lucy.

Z werandy rozpościerał się widok, który zaparł mi dech. Staw lśnił w promieniach zachodzącego słońca jak roztopione złoto. Za nim, wśród drzew, majaczyły kominy Green Gables. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałam przez te wszystkie lata.

– Kolacja powitalna jest o siódmej w głównym budynku – powiedziała Eleonora. – Będą tam wszyscy goście specjalni, również profesor Pemberton. Podobno ma jutro ogłosić jakieś sensacyjne odkrycie.

– Jakie odkrycie? – zainteresowała się Klaudia.

Eleonora wzruszyła ramionami.

– Nie znam szczegółów, ale podobno znalazł w archiwach coś, co może zmienić nasze postrzeganie *Ani z Zielonego Wzgórza*. Jest tym bardzo podekscytowany. Niektórzy mówią nawet, że to odkrycie stulecia dla badaczy Montgomery.

Gdy Eleonora wyszła, usiadłam przy sekretarzyku i otworzyłam pamiętnik. Za oknem pierwszy zmierzch na Wyspie Księcia Edwarda barwił niebo na różowo i złoto. Patrzyłam na sąsiedni domek – „Dryad’s Bubble”. Wyglądał identycznie jak nasz, tylko w oknach paliło się już światło. Profesor Pemberton, światowy autorytet od Montgomery, mieszkał dwadzieścia metrów ode nas.

– No to teraz mogę umrzeć szczęśliwa – wyszeptałam.

– Błagam tylko nie dzisiaj – mruknęła Klaudia. – Najpierw musimy się rozpakować przed tą kolacją.

Jestem tu. Naprawdę tutaj jestem. Siedzę w domku, który wygląda, jakby wyszedł wprost z kart książki. Za oknem szumi ten sam wiatr, który szumiał dla Lucy. Te same mewy krzyczą nad zatoką. Jutro pójdę do Green Gables, zobaczę dom Ani, przejdę się Aleją Zakochanych. Wszystko pachnie solą morską, różami i świeżo skoszoną trawą.

Eleonora Campbell jest urocza – prawdziwa dama z Wyspy. Jej rodzina od pokoleń strzeże dziedzictwa Lucy. Ciekawe, co by pomyślała sama pisarka o tym całym zlocie, o ludziach przyjeżdżających z całego świata, żeby dotknąć jej świata?

Profesor Pemberton mieszka tuż obok. Widzę światło w jego oknie. Co takiego odkrył? Dlaczego Eleonora wydawała się lekko zaniepokojona, mówiąc o tym?

I ten Matthew – Matt Curtis. Przewodnik wcielający się w postać z książki. Klaudia już snuje plany matrymonialne, ale ja jestem tu dla Ani, nie dla romansów.

Chociaż... Lucy też przyjechała do Cavendish samotna i smutna po stracie. I znalazła tu miłość.

Ale to głupie myśli. Jestem tu tylko na tydzień. Tydzień w rajcu. Tydzień w domu Ani.

Zanim poszłyśmy na kolację, wyszłam jeszcze na werandę. Stałam tam w długiej nocnej koszuli, którą założyłam po kąpieli, z włosami związanymi wstążką – dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie Anię stojącą na werandzie Green Gables. Księżyc oświetlał ogród, a w oddali słychać było szum morza.

Po raz pierwszy od rozstania z Hubertem poczułam się piękna. Nie dlatego, że ktoś mi to powiedział lub że zobaczyłam to w czyichś oczach. Czułam się piękna, bo byłam wolna – mogłam marzyć, mogłam być sobą,

mogłam wierzyć w magię tego miejsca i nikt nie mówił, że to infantylne. Wiatr rozwiewał mi włosy i sukienkę, a ja wyciągnęłam ręce, jakbym chciała objąć całą wyspę.

– Jestem tutaj, Lucy – szepnęłam do ciemniejącego nieba. – Jestem w twoim świecie.

I mogłabym przysiąc, że wiatr przyniósł mi w odpowiedzi ciche westchnienie.

Dalsza część w wersji pełnej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Spis treści

Prolog

Zostań moją siostrą, Aniu!

Wyspa koloru czerwonej gliny.